



Czy szkoła musi być katastrofą?

Pierwszy dzień w szkole.

„W mój pierwszy dzień szkoły Britta idzie ze mną. Płacę całą drogę do szkoły. Nie mogę zrozumieć, dlaczego muszę tam iść. Nikt mi nie tłumaczy, dlaczego jest to konieczne. Lenart mamrotał coś o obowiązku szkolnym, zanim wyszliśmy, ale ja nie mam pojęcia co to oznacza. Na korytarzu jest masa dzieci. Wszystkie mają ładne ubrania. Tak jakby to było Boże Narodzenie, albo czyjeś urodziny. Ale nic nie jest zabawne. I nie dostaniemy żadnych prezentów. Nauczycielka nazywa się Barbro Larsson, ma mlecznobiałą cerę i jabłkowoczerwone policzki. Wygląda dość miło.

Wszyscy oprócz mnie mają ze sobą prawdziwe mamy. Kiedy pani wywołuje nas po imieniu, należy odpowiedzieć: jestem. Kiedy wyczytuje moje imię, nie mogę odpowiedzieć, bo płaczę bez przerwy. Siedzę z czołem położonym na ławce i zatykam rękami uszy. Britta odpowiada „jestem” za mnie. Chłopiec obok mnie śmieje się głośno. Barbro już wie, że w jej klasie jest dziecko z problemami, dziecko które będzie dla niej problemem. Nie jestem uzdolnionym dzieckiem, jak dziewczynki, które siedzą w pierwszych ławkach, wesole, miłe, z iskrzącymi oczami. Promieniujące radością i podnoszące rękę w górę, gdy tylko usłyszą pytanie.

Zielona ławka jest mokra od moich łez i smarków. Ciężko mi oddychać, gdy tak leżę z ramionami i twarzą w ślinie. Ani razu nie podnoszę głowy w ciągu dwóch godzin spędzonych w klasie. Leżę i się nie ruszam. Jedyne co się we mnie porusza, to moje ręce i stopy, które trzęsą się w spazmach co jakiś czas. Nie potrafię tego kontrolować. Poruszają się same z siebie. Jedyne co pomaga, to położenie jednej ręki lub nogi na drugą i przyciskanie tak mocno, że aż zaczyna boleć. Jednak gdy tylko zdejmę rękę czy nogę z drugiej, to znowu zaczynam się trząść. Żadne inne dziecko się tak nie trzęsie. Co dzieje się z moim ciałem?

Kiedy mój pierwszy dzień szkoły dobiega końca, wychodzimy z Brittą z klasy ostatecznie. Na korytarzu wisi afisz z napisem „Uważaj na stare i spróchniałe drzewa”. Britta opowiada mi, jak niebezpieczna jest zabawa w pobliżu starych i spróchniałych drzew. Ostrzega mnie, iż nie powinnam się nigdy zbliżać do takich drzew.

Gdyby stare i spróchniałe drzewa były jedynym niebezpieczeństwem czyhającym na mnie w życiu, byłabym jej pewnie wdzięczna. Potrzebowałam zupełnie innych ostrzeżeń. Britta stawia duże kroki. Muszę biec, aby za nią nadążyć. Daje mi chusteczkę i nie patrząc na mnie, każe mi się wysmarkać.

Ten poruszający i deprymujący opis pierwszego dnia w szkole zamieściła w swojej autobiograficznej książce Mian Lodalen. Jako dorosła osoba opisuje ona swoje dzieciństwo. Matka Mian popełniła samobójstwo, ponieważ w latach sześćdziesiątych w Szwecji, nikt nie brał na poważnie depresji okołoporodowej. Mian wychowuje się u Britty, która jest jej ciocią. Ojciec pojawia się w jej życiu tylko sporadycznie.

Dziecko po przejściach i dorośli szukający winnego.

Czy tak ma wyglądać pierwszy dzień dziecka w szkole? I kto jest winny? Matka zastępcza, która

wychowuje siostrzenicę nigdy jej nie dotykając i nie dając jej czułości? Nieobecny ojciec? Czy może po prostu nauczycielka Barbro, która wzdycha, bo już pierwszego dnia szkoły wie, że będzie miała więcej pracy i kłopoty z „tym” dzieckiem?

Piszę ten tekst czterdzieści lat później. I jestem niezmiernie zadowolona, że moje dziecko nie musi przeżywać tego, co Mian. że wysyłając mojego syna do szkoły wiem, iż ze względu na to, iż jest adoptowany – a to prawie zawsze równa się poważnym zaburzeniom rozwojowym (sądy wszak nie odbierają rodzicom praw rodzicielskich bez przyczyny), nie będzie traktowany gorzej, czy jako dziecko z problemami, ale otrzyma tyle pomocy i wsparcia, na ile zasługuje i ile wymaga jego szczególna sytuacja.

Adoptowaliśmy naszego syna, gdy miał 11 lat a za sobą historię bardzo trudnego dzieciństwa. Przyjechał do nas ze skierowaniem do szkoły specjalnej i bardzo złą opinią. Wychowawcy z polskiego domu dziecka informowali nas o złym zachowaniu chłopca gdy był jeszcze w Polsce. O tym, iż przykładnie i systematycznie go karali - zabraniali tego, co było dla niego ważne. Gdy nasz syn wyjeżdżał do nas, system opieki nad nim, złożył broń. Był „leniwym nieukiem, najgorszym w klasie, kłamiącym i oszukującym.”

I tutaj zapewne czytelnik mojego artykułu chciałby usłyszeć bajkę o kopciuszku, a na koniec kilka dobrych i sprawdzonych rad, jak zamienić żabę w księcia. Niestety, muszę czytelnika rozczarować. Nasz syn ma dzisiaj 15 lat i wciąż nie lubi szkoły. Nie jest również *orłem*, prawdopodobnie zostanie mechanikiem samochodowym, bo to jest jego marzenie. Jednakże dzięki pracy naszej, nauczycieli i pedagogów, wytrzymuje w szkole i nie jest to dla niego wielka trauma. Potrafi się skupić, uczyć i dyskutować. Nie wyraża agresji w stosunku do innych dzieci, ma kolegów i powoli zaczyna wierzyć w siebie. Nie kłamie. Gdy zapytałam go dzisiaj o różnice, między szwedzką i polską szkołą wymienił dwie.

Po pierwsze, że w szwedzkiej szkole było mu od początku dużo łatwiej. I tutaj radziłabym wszystkim wyobrazić sobie, że nagle zostają państwo umieszczeni w szkole, w której wszyscy mówią na przykład po chińsku i nic nie rozumiecie. Jakim cudem może być w takiej szkole łatwiej?

Jako drugą różnicę podał możliwość dokonywania wyboru, której nigdy nie miał w Polsce. „Tutaj nikt mnie do niczego nie zmuszał, aż w końcu samemu mi się zachciało.”

Dlaczego było łatwiej? Przez pierwsze dwa lata, personel szkoły naszego syna skoncentrował się na integrowaniu go ze środowiskiem kolegów i stwarzaniu poczucia bezpieczeństwa. Nikt nie wspominał ani słowem o jego wynikach nauczania. Jednakże często dostawałam radosne informacje od nauczycieli, że syn dzisiaj pracował w grupie. Albo, że zaczął się trochę uśmiechać. Jego ulubiona pani od języka szwedzkiego wychodziła razem z nim na przerwy i grała z dziećmi w piłkę, bo wiedziała, że on tylko z nią odważy się przyłączyć (i to nie za pierwszym razem). Pani pedagog zaproponowała, iż razem mogą wyprowadzać jej psa na spacer. Jeśli tylko koledzy, zaczęli się z niego śmiać, było zwoływane zebranie z rodzicami, którzy bardzo chętnie współpracowali. Efekt był taki, iż po roku syn przestał wymiotować ze strachu w szkole. I to był już wielki sukces.

Owsiki, mrówki i wszy w jednym, czyli zaburzenia posttraumatyczne.

Czy wiemy, co dziecko, które przeszło traumę w dzieciństwie, czuje w środowisku szkolnym? Myślę, że warto wrócić do opowiadania Mian, która jako dorosła osoba, doskonale pamięta swoje emocje.

„Czuję się, jakby cały czas coś po mnie laziło. Nie mogę usiedzieć spokojnie. To jest po prostu niemożliwe. To tak jakby siedzieć w mrowisku. Wszystko mnie swędzi. Wszystko mnie kłuje. Jak egzema. Albo wszy. Albo owsiki. Wszy miałam raz. Owsiki kilka razy. Jest tak, jakbym miała owsiki i musiała siedzieć bez ruchu na jednym krześle przez cały dzień. I różnica jest jeszcze taka, że w szkole swędzi mnie całe ciało. Nie tylko pupa. Bujam się na krześle. Balansuję na tylnych nogach krzesła. (...)

Gdy pani powie do mnie trzy, cztery razy, że mam być cicho, a ja wciąż nie mogę przestać rozmawiać i przeszkadzać innym, łapie mnie wtedy za ramię.

Musisz się nareszcie uspokoić!

Krzyczy, cała czerwona na twarzy.

Jest mi głupio przed innymi dziećmi. Ja nie mogę schwycić Barbro Larsson za ramię. Nie mogę nic powiedzieć. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć.

Przecież jesteś dziewczynką. Wstydz się! Krzyczy.

Potem jestem przez chwilę cicho. Gdy Barbro Larsson schwyci mnie za rękę lub naprawdę na mnie nakrzyczy najlepiej jest zacząć marzyć. Patrzę przez okno. Głos pani cichnie, potem w ogóle znika. (...) Chmury zaczynają tworzyć różne figury.(...)

Kiedy nie przeszkadzam innym, ale gdy wszystko nadal tak strasznie swędzi, gdy nie patrzę na chmury, gdy nie marzę i nie rozmawiam, to zasypiam. Bardzo często kładę głowę na ławce i zasypiam. Śpię jak kamień.

Czy można pomóc dziecku, które tak się czuje w sytuacji szkolnej?

Myślę, że często nie zdajemy sobie sprawy, jak mało środków jest do tego potrzebne. Przede wszystkim, nauczyciel powinien uświadomić sobie intencje dziecka. Dziecko po przejściu traumy, dziecko, które jest skrzywdzone i **emocjonalnie niestabilne**, nie działa w powyżej opisany sposób po to, aby coś zniszczyć i zrujnować. Często odbieramy takie zachowania jako świadomą destrukcję ze strony dziecka, jako chęć zaburzenia rytmu lekcji, jako działanie złośliwe, skierowane przeciwko nam lub innym dzieciom, jako wynik lenistwa, *złych genów*, czy po prostu chęć zepsucia nam kolejnego dnia. Ale przecież dziewczynka w powyższym tekście nie działa przeciwko nikomu. Jedynym motywem jej działania jest potrzeba złagodzenia silnego napięcia, które jest w niej zgromadzone. Ona nie może sobie z tym poradzić, jest kompletnie bezradna.

Robi pewne rzeczy, aby przeżyć, a nie aby złośliwie niszczyć pracę dorosłej osoby. Jeżeli nauczyciel sobie to uświadomi, to przestanie walczyć z dzieckiem, jak wymieniona wyżej Barbro, przestanie nakazywać i krzyczeć, ale po prostu będzie chciał mu pomóc.

Nawiązanie więzi z uczniem jako środek do celu.

Sama pracuję od sześciu lat jako nauczycielka w szkole szwedzkiej. Nauczyłam się, że aby polubić moich uczniów, muszę spojrzeć na nich obiektywnie i postarać się zobaczyć ich pozytywne strony. Każdy człowiek robi coś dobrze i moim zadaniem, jako nauczycielki jest wyłuskanie, odnalezienie tych dobrych stron. Poza tym, rozmowa z uczniem, żarty, próba nawiązania kontaktu, prowadzą najczęściej do tego, że wytwarza się więź, która jest podstawą do budowania relacji. **A tylko uczeń w dobrej relacji z nauczycielem jest w stanie poczuć się bezpiecznie i czegoś się nauczyć.** Ja, jako osoba dorosła i nauczyciel jestem odpowiedzialna za tę relację.

Chcę również, aby moi uczniowie czuli się bezpiecznie w mojej klasie. Poczucie bezpieczeństwa, daje im możliwość maksymalnego wykorzystywanie swojego potencjału intelektualnego. Dlatego w mojej klasie panuje zasada, że nie ma głupich pytań. Uczeń ma prawo zadać to samo pytanie, dotyczące przerabianego wcześniej materiału ile razy zechce. Nie krytykuję go za to, ponieważ wiem, iż każdy uczy się w innym tempie.

U mnie, wprowadzam też zasadę, że nie ma głupich odpowiedzi. Nigdy nie krytykuję moich uczniów za niepoprawną odpowiedź. Sam fakt, iż próbują odpowiedzieć, jest formą nauki.

Wróćmy jednak do Mian i jej traumatycznych, szkolnych przeżyć.

„Pewnego dnia mamy nauczyć pisać się dwójki. Każdego dnia musimy uczyć się czegoś nowego. Jestem znudzona. Albo zmęczona. Nie mam siły. Jestem śpiąca. Każdy dzień to tak jakby zdobywać wysoki szczyt tylko w skarpetkach. I wszystko mnie tak strasznie swędzi. Jakbym miała ubrania z waty szklanej. Ręce mnie bolą od ciągłego pisania. I wymazywania. I pisania od nowa. ... Barbro próbuje mi pomóc. Mówi, że to takie proste.

Spróbuj się skoncentrować, mówi. Trzyma swoją rękę wokół mojej, w której mam ołówek. To jedyny moment, oprócz oczywiście tych momentów, kiedy jest na mnie zła i szarpie mnie za ramię, kiedy pani mnie dotyka. Zamykam oczy. To takie przyjemne. Myślę, że tak samo dotykałaby mnie mama.”

Niestety, Barbro nie potrafiła pomóc Mian. Nie wykorzystuje tak oczywistej okazji do nawiązania więzi, jaką daje jej dziewczynka. Dla niej, uczennica pozostała na zawsze złośliwym, leniwym i trudnym dzieckiem. Odetchnęła pewnie z ulgą, gdy Mian skończyła szkołę.

Jak możemy uniknąć takich sytuacji?

Pozostawiam czytelnika z tym pytaniem - wierząc, że każdy z nas - nauczycieli - potrafi na nie odpowiedzieć.

Magda Hulu Mazurska - NSLT 2011

Artykuł zamieszczony w publikacji „Jak pomóc dziecku, które przeżyło zbyt wiele”
TPD Jarosław 2011

fragmenty książki:

Mian Lodalen, 2009, Darens dotter, GGP Media GmbH, ößneck.